Nr. 26. Lwów, dnia 10. Września 1888 r. Rok I.



Pismo poświęcone powieściom, romansom, nowellom i wspomnieniom.

Prenumerata wynosi w Galicyi: Rocznie **6** złr., półrocznie **3** złr. kwart. **1** zł. **50** ct., mies. **50** ct. Skład w drukarni W. Manieckiego Lwów. | W Księstwie Poznańskiem: Rocznie **12** marek, półrocznie **6** marek ćwierćrocz. **3** m., miesięcz. **1** m. Skład w Poznaniu u J. Leitgebra i Ski

Wydawca: **Józef Rogosz.** — Redakcya i Administracja *„Wieczorów zimowych“* **w drukarni nar. W. Manieckiego ul. Kopernika l. 7 we Lwowie.**

„Wieczory zimowe“ **wychodzą we Lwowie trzy razy na miesiąc, a mianowicie**: każdego 1-go. 10-go i 20-go.

W ŚMIERTELNYCH ZAPASACH

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

osnuta na tle stosunków Wielkopolskich

przez

JÓZEFA ROGOSZA.

(Ciąg dalszy.)

II.

— Wracamy do domu? — córka zapytała.

— Do domu? o tej godzinie? Wszak dopiero pół do siódmej!—matka odrzekła na zegarek spoglądając. — Możemy jeszcze jeździć najmniej dwie godziny.

— Ale gdzie pojedziemy?

— Jabym chciała skoczyć do Ujścia, żeby choć z daleka okręt zobaczyć. To mnie nadzwyczajnie intryguje.

— Do Ujścia kawałek, boję się, byśmy się nie zapóźniły.

— Nie bój się, Michał dobrze pojedzie - matka odpowiedziała do powozu wsiadając. Potem zawołała: — Do Ujścia, Michale! tylko rozpuść bat.

— Co proszę jaśnie pani? — Michał zapytał głowę obracając.

— Rozpuść bat, gamoniu!

— Pani hrabina chce, byście prędko jechali Michale — wmięszała się córka i zaraz ciszej dodała: — My tu mamo, czwórkami nigdy nie jeździmy, więc i batogów nie potrzebujemy rozpuszczać, bo nie są długie.

Stangret usłyszawszy, że go hrabina „gamoniem“ nazwała, pokręcił głową, coś pod nosem mruknął i z całej siły konie uderzył. Przestraszone rzuciły się najpierw w galop, lecz gdy je ściągnął trocha, pędziły dalej długim kłusem, prosto do Ujścia Leśnego.

Tam od rana słychać stuk jeszcze większy niż wczora, ponieważ stary hrabia przyrzekł mechanikowi sowity „trynkgeld“ jeżeli do nocy będzie łódź gotowa.

W parku nad jeziorem, na wysokiem rusztowaniu, spoczywała ona teraz w całej pełni. Robotnicy kończyli jeszcze coś przybijać, lutować i w środku urządzać. Mechanik chodził zadowolony, że go „trynkgeld“ nie minie, stary zaś hrabia ręce zacierał i językiem mlaskał, bo już nazajutrz miało nastąpić uroczyste spuszczenie na wody pierwszego parowca w tych stronach.

Młody hrabia chodził, patrzył, czasem także o coś zapytał, lecz nie wyglądał bardzo uradowany. Jego fizjognomja była jak zawsze znudzona, obojętna, apatyczna.

Podczas gdy on na dole stojąc, ciągle sobie chustką szyję otulał, przyczem ziewał, tymczasem jego ojciec po stopniach drewnianych, które mechanik kazał dlań umyślnie zbudować, dostał się na wierzch łodzi, ponieważ jak mówił, chciał pierwszy swoje dzieło oglądać. Zlustrowawszy pokład zszedł najpierw do kajuty, potem do maszyny, której złożenie jeszcze rano było skończone, wreszcie zjawił się znowu na pokładzie, zkąd do syna zawołał:

— *Prachtvoll! Superbe!*

— Podobało ci się?—syn zapytał.

— Nadzwyczajnie, mój Leonardzie! Robota

doskonała, przedziwna! Ale chodź i ty tu, i sam zobacz!

— Będę miał czas uczynić to jutro, na wodzie... Coś zaczyna być chłodniej, od zachodu wiatr się zerwał, a tam wysoko pewnie jeszcze bardziej ciągnie.

— Leonardzie! Leonardzie! gdybym tak nie był twoim ojcem, doprawdy nigdy bym się do tego nie przyznał. Jemu ciągle zimno, a mnie żar pali, on boi się przeziębić, a jabym rad się trocha ochłodzić. Źle na świecie, mój Leonardzie, coraz gorzej!

Poprawił sobie szkiełko w oku, wykręcił się na piętach i dumny z dzieła, o którem chętnie mawiał, że było przez niego zaimprowizowane, wyprostował się na niem, jak Napoleon na szczycie piramidy. Hrabia był pewny, że i na niego patrzyło teraz najmniej sto wieków! Wszakże on sam ani nie zatapiał swego wzroku w ciemnej przeszłości, ani też nie pytał, co mu równie niejasna przyszłość przyniesie. On w tej chwili spoglądał tylko na drogę z Komarowa do Ujścia prowadzącą, tam bowiem, dzięki swemu szkiełku, które przedmioty przybliżało i robiło wyraźnemi, dostrzegł jakiś ekwipaż szybko jadący.

— Leonardzie! — zawołał do syna. — Nie wiesz czyje to konie?

Zapytany przysłonił oczy dłonią.

— Zdaje mi się, że to Milińskiego z Trzcińca, bo tu nikt tak dobrych nie ma. Baron jeździ szkapami że aż wstyd.

— Tak jest, to ekwipaż Milińskiego! — ojciec potwierdził. — W powozie siedzą dwie damy, ręczę że to hrabina z córką. Leonardzie! to wypadek nadzwyczajny! Hej! ty kawalerze — krzyknął na młodego rzemieślnika, który stał przy stopniach — chodź tu do mnie i podaj mi rękę. Zawsze bezpieczniej na górę wchodzić, niż na dół zstępować. Takie to słabe, że człowiekowi prawie się zdaje, iż pod nim nogi się uginają. Uf! a to ciężka droga... Dziękuję ci, kawalerze — dodał znalazłszy się nakoniec na ziemi, poczem zwrócił się zaraz do syna: — Ręczę ci, Leonardzie, że one nie nawrócą, lecz po pod naszą bramę podjadą, bo zapewne zechcą jezioro w koło objechać. Chodźmy prędko, żeby nam się gratka nie wymknęła.. He, he, he, *das ist prachtvoll! Superbe!*

Twarz syna, gdy tak stojąc w powóz się wpatrywał, lekko się zarumieniła. Snać ten widok sprawiał mu przyjemność, bo i na ustach pojawiło się coś nakształt uśmiechu. Ale mimo to jeszcze się nie ruszył.

— Cóż, idziesz? — ojciec napierał. — Zanim do bramy zdążymy, gotowe ją minąć.

— Idę — Leonard odpowiedział i pierwszy wbiegł na ścieżkę, która do drogi prowadziła. Ojciec włożywszy laskę do kieszeni marynarki, spieszył za jedynakiem.

Z początku wyobraźnia i nadzieja przypięły mu dwa skrzydła, lecz gdy te okazały się za słabe, musiał stanąć i oprzeć się o drzewo najbliższe. Był wtedy ledwie w połowie drogi, a syn dobrze go już wyprzedził. Słabość w starym lwie nie trwała jednak długo. Czego nie mogła dokazać siła, dokazała rutyna. Odetchnął, wysunął najpierw nogę prawą, jakby próbował, czy ma dość twardy grunt pod sobą, potem wyciągnął lewą i cały swój korpus wprowadził w ruch dosyć szybki, a takmiarowy, że figura jego czyniła teraz wrażenie ciągle naprzód posuwającego się wachadło. W pobliżu bramy ruch zrobił się jeszcze szybszy i wtedy w nim coś aż trzeszczało. Nakoniec dobiegł i oburącz chwycił się kraty żelaznej.

Na jego szczęście powóz był jeszcze daleko. Mógł więc wysapać się i odpocząć. Dopiero za kilka minut ukazały się konie. Michał na koźle i jedwabne parasoliki za jego plecami.

Im bliżej był powóz, tem wolniej się toczył, wreszcie przed samą bramą konie, trocha spienione, zaczęły już iść krok za krokiem. Hrabina tak pragnęła zobaczyć pałac i ogród, a przedewszystkiem ów okręt cudowny, który od dni kilku absorbował wszystkie jej myśli, że prawie stała. Przeciwnie jej córka siedziała w pozie artystycznej, mając po lewej stronie nieodstępne *entout-cas*, od którego niebieskiej podszewki jej twarzyczka cudownie odbijała.

— *Graefin! Comtesse!*—dały się równocześnie słyszeć dwa głosy i obadwa hrabiowie posunęli do powozu, który stanął jak na komendę.—Czy to pięknie hrabino, żebyśmy ją przed naszym domem przemocą zatrzymywać potrzebowali? — zapytał stary hrabia rękę jej podając.

— Bardzoście panowie uprzejmi, ale myśmy się wybrały tylko na krótką chwilę, żeby użyć przejażdżki i świeżego powietrza.

— Wypadek to jest dla nas tak przyjemny a niezwykły — mówił młody hrabia, ku tej stronie powozu podchodząc, gdzie siedziała pani Eleonora — że choćbyśmy nawet mieli być niegrzeczni, dłużej tu panie zatrzymamy.

Gdyby ojciec nie był teraz tak bardzo zajęty rozmową z hrabiną i chwaleniem *Lalunci* którą głaskał, mimo iż ona warczała, byłby się nie mało zdumiał, że syn jego odważył się tak długi frazes jednym tchem wypowiedzieć.

Z obu stron posypały się używane w takich wypadkach zdawkowe grzeczności. Stary hrabia puścił język na kołowrotek, idąc w tem o lepsze z hrabiną, ściskał jej tłustą rękę i na sposób niemiecki dłonią swoją delikatnie ją przygłaskiwał, uśmiechał się, jak umiał najmilej, przyczem odsłaniał zęby równe, białe, połyskujące, jak dwa rzędy pereł urjańskich, kołysał się to na jednej, to na drugiej nodze i bez przerwy mówił jej komplimenta, sławiąc wszystko, cokolwiek zauważył

w hrabinie, począwszy od jej oczu i akcentu francuzkiego, a skończywszy na modnej bransoletce paryskiej, która na każdem ogniwie miała misternie emaljowaną jaskołkę. Ale chociaż udawał, że jedynie nią jest zajęty, oko w dobre szkło uzbrojone wysyłało częste spojrzenia ku pani Milińskiej, która z jego synem rozmawiała poważnie i znacznie ciszej niż jej matka. Ta śmiała się, trzepała, jakby ją w życiu największe szczęście spotkało

— Spodziewamy się — przemówił stary hrabia — że panie zechcecie przynajmniej nasz okręt zobaczyć, który już jest skończony. Jutro nastąpi pierwsza produkcja na naszem wspólnem terytorjum. He, he, he, tak... tak — dodał z naciskiem — na naszem wspólnem terytorjum...

— A gdzie jest ten okręt, że go ztąd nie widać? — hrabina zapytała w powozie stając.

— Po drugiej stronie pałacu, nad wodą. Ztąd nie daleko... ledwie kilkadziesiąt kroków. Niech pani hrabina będzie łaskawa wysiąśdź. Służę pani.

Ona prawdopodobnie tylko na to czekała, bo gdy hrabia drzwiczki otworzył i rękę jej podał, w tym samym momencie z powozu wyskoczyła. Córka spojrzała na nią ze zdziwieniem.

— Mama wysiada? — zapytała.

— A tak... chciałabym koniecznie ten cudowny okręt zobaczyć.

— Mnie się zdaje mamo, że już późno.. Do domu mamy ztąd spory kawałek drogi.

— Niech się pani nie obawia — przemówił młody hrabia — jeżeli o to idzie, każę zaprządz cztery konie, które pójdą jak wiatr.

— A ja każę służbie jechać naprzód z pochodniami, których mamy tu jeszcze kilkadziesiąt z owych czasów, kiedy to NPan raczył nasz dom swoją bytnością zaszczycić — stary hrabia dorzucił.

Obie te propozycje zamiast ucieszyć, raczej zaniepokoiły panią Milińską. Za to matka była niemi tak uradowana, że już je chciała przyjąć, gdy w tem jej spojrzenie zbiegło się ze wzrokiem córki. Chociaż z zasady nie lubiła tego się domyślać, co jej było niemiłe, mimo to oczy Eleonory musiały być tym razem bardzo wyraziste, skoro tonem nieco poważniejszym odpowiedziała:

— Darują panowie, lecz takich grzeczności nie moglibyśmy przyjąć. Obejrzymy tylko okręt i zaraz do domu wracamy.

To powiedziawszy wsunęła rękę pod ramię hr. Artura i na córkę więcej uwagi nie zwracając, ruszyła ku pałacowi. Co pani Milińska miała uczynić? Pójść za matką? Źle. Zostać tu z hr. Leonardem, który od powozu nie odstępował? Jeszcze gorzej. Wahała się tedy chwilę, zawsze bowiem były to kroki samodzielne, które od wyjścia za mąż pierwszy raz bez męża stawiała; w końcu wszakże uznała, że lepiej postąpi, gdy za matką pójdzie. W każdym razie na swoje usprawiedliwienie mogła przynajmniej to powiedzieć, że nie ona była winna. Matka wprowadziła ją w położenie przymusowe, w którem z konieczności trzeba było mniejsze złe wybierać.

Podczas oglądania łodzi parowej, hrabina wydawała ciągle achy i ochy; potem pałac w koło obchodziła, nazwała go budowlą monumentalną, ósmym cudem świata i z wielkim gustem byłaby do środka zajrzała, lecz tym razem przeczucie jej powiedziało, że córka za nią nie pójdzie; nakoniec obie damy stanęły ze swymi kawalerami, jakby się chciały już pożegnać. Piękny ich zamiar spełzł atoli na niczem, niespodziewanie bowiem zjawili się dwaj lokaje, a za nimi zawsze poważny Jacques. Pierwsi nieśli niezbyt wielki stolik, na nim lody i owoce, drugi spieszył złożyć egzamin ze swej grzeczności przy usługiwaniu. Pani Milińska usta przygryzła, ale jej matka, która miała doskonały apetyt, natychmiast do stolika zasiadła i mięszając melon z lodami, a lody z konfiturami, wszystko chętnie jadła, przyczem ciągle powtarzała: Doskonałości! Wyborności!

Dobrze się już ściemniało, gdy nareszcie obie damy, odprowadzone przez swoich kawalerów, wsiadły do powozu. Matka tak była rozbawiona, że usta jeszcze jej się nie zamknęły. Jadąc chwaliła nadzwyczajną uprzejmość starego hrabiego, wytworność młodego, cudowny ogród, prześliczny okręt, czarodziejski pałac. Córka milczała. Dopiero gdy się znalazły niedaleko Trzcińca, cicho przemówiła:

— Boję się, żeby Henryk nie wziął mi za złe tej wycieczki.

— Za złe? Ciekawam za co?.. Czyż to sama byłaś? Kobieta pod okiem matki, jest stokroć bezpieczniejsza, niż pod okiem męża, ten bowiem często gęsto nic nie widzi. Zresztą Henryk niekoniecznie potrzebuje wiedzieć żeśmy tu były, w rozmowie z hrabią nadmieniłam *en passant*, aby, gdy do nas przyjadą, nic o tem sami nie wspominali, bardzo więc być może, że mąż twój o niczem się nie dowie. Ale chociażby i usłyszał, to już ja wszystko na siebie biorę. Nie na to wychowałam cię taką piękną, rozumną i pełną talentów, byś dziś jak zakonnica siedziała. Ludzie ludzi potrzebują, z sąsiadami powinno się żyć... Ręczę ci, że i baronowie będą u nas bywali. Niemcy czy nie niemcy, co nas to może obchodzić. Nam potrzeba towarzystwa, nie jakichsić tam patrjotników. Rozmowa, zabawa, nikomu nie szkodzą... Całe życie lubiłam towarzystwo, a jednak wiesz, że ani na chwilę nie przestałam być kobietą uczciwą.

Córka musiała to w duchu przyznać. Hrabina w rzeczy samej nie znajdowała się dotąd nigdy na tej śliskiej pochyłości, po której kobieta w przepaść spada. Jak ptak powietrza, ryba wody, a akrobata gimnastyki, tak ona potrzebowała ciągłego ruchu, częstego śmiechu i bezustannej rozmowy, bo-

by inaczej zachorowała. Nie umiała z godnością utrzymać się na stanowisku, na którem znalazła się dzięki swemu urodzeniu i nieboszczykom mężom; nie miała taktu; była rubaszna; kaprys stawiała wyżej niż obowiązki; w ogólności, była jednym wielkim błędem, jak to o niej zięć trafnie powiedział, lecz mimo to nigdy nie szukała miłostek, nigdy się nie wykoleiła. Wypływałoż to u niej z poczucia cnoty, czy tylko z braku gorętszego temperamentu?

Podczas gdy obie damy jadąc rozmawiają, hrabiowie czynią to samo w Ujściu Leśnem, siedząc w znanym nam już dobrze gabinecie młodego gospodarza.

— Mówię ci Leonardzie, kobieta przepyszna! Jakie oczy, buzia, usta, rączka, nóżka, he! he! he! *prachtvoll! superbe!*

— Nie spodziewałem się, że znajdziesz tyle wdzięków u osoby tak już niemłodej — syn odrzucił.

— Jak to niemlodej?

— Bo hrabina będzie miała z pewnością niedaleko pięćdziesiąt.

— A niechże cię, Leonardzie, za takie żarty kule biją! Dla tego żem matkę emablował, to on już myśli, żem zapomniał o córce. Ależ, mój kochany, wszak to jest tylko metoda, nic więcej... W jedną się mierzy, a w drugą się strzela.. Czyż mógłbyś nawet marzyć o sukcesach u córki, gdybyś mamusię miał przeciw sobie? To kobieta straszna, niebezpieczna, jak Todten-huzar!

— W takim razie gotowiśmy się poróżnić — syn przez zęby wycedził i zaczął się na fotelu kołysać.

— No, no, jakoś to już będzie. Przecie znając cię, Leonardzie, wiem jak jesteś gościnny. Skoro w twoim domu przebywam, więc mnie we wszystkiem należy się pierwszeństwo. Zresztą ty, jako młodszy, możesz śmielej do hrabiny posunąć. Mnie w twoim wieku podobały się same tylko czterdziestówki. Dziś chociaż krew wre jeszcze w żyłach, na to jestem już za stary.

— I ja — syn spokojnie dorzucił.

— Nie żartuj, Leonardzie, nie żartuj!... Przecie jesteś moim synem, więc musisz być zuchem co się zowie. Ale gdyby nawet tak nie było, to w takim razie będę apelował do twojej gościnności.

— Zleś się z tem wybrał. Wszak te panie nie mieszkają w Ujściu, w Trzcińcu zaś nie ja jestem gospodarzem.

Stary hrabia głowę wyżej podniósł, usta otworzył i na syna patrząc, zaczął ruszać językiem.

— Rzeczywiście, masz rację... Że mi też to na myśl nie przyszło. Ale skoro tak jest, znajdziemy i na to sposób. Niech każdy pracuje na własną rękę. Który ogar pierwszy dopędzi, ten złapie. Wprawdzie byłoby lepiej, gdybyśmy z boków stali, a trzeci gonił, bo wtedy pewnie by nam się nie wymknęła...

— To my też tak stójmy — syn spokojnie przemówił — a mąż niech goni.

Stary hrabia jeszcze szerzej usta rozwarł i dłońmi po kolanach się uderzył.

— *Prachtvoll! Superbe!* — zawołał. — My będziemy pilnowali, a on niech goni. Myśl pyszna Leonardzie, genjalna! Na świecie już nie raz takie rzeczy się zdarzały. He, he, he, niech goni, niech goni... *Prachtvoll! Superbe!*

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DWA OBOZY

POWIEŚĆ FRANCUSKA
WIKTORA CHERBULIEZ.

(Ciąg dalszy.)

Pozostał niemym Wydął usta jakby chciał dać do poznania: — „Musiał by wstać rano ten, ktoby ze mnie mógł co wyciągnąć!“ — Potem spojrzał na nią ponuro:

— Nie chciałem, żeby się żenił... wolałem tę pierwszą...

Nagle dziko zapytał:

— A kim że ty jesteś?!

— Twoją dozorczynią, — lodowato odpowiedziała.

Chwyciła go za ramiona i zmusiła, żeby się spokojnie położył, okryty przez nią kołdrą starannie. Po chwili zaczął znowu się zrywać, pleść rzeczy niestworzone o człowieku, który mu twarz szpetnie naznaczył i na którym musi się zemścić. Krzyczał, że słyszy kroki jego za drzwiami, że musi wstać i z nim się uporać! Powtórzyła mu ze sto razy, że się myli, że w kuchni niema żywej duszy, że jest w Combard, a nie w Paryżu, w apartamencie przy ulicy luksenburskiej. Na szczęście usnął z pierwszym dnia brzaskiem, a ona mogła się nad wszystkiem zastanowić Osnuto zręczną intrygę, uknuto spisek nie lada i to jej ulżyło ciężaru. Choćby jak kobieta obumarła dla świata, będzie to pociechą dla jej dumy obrażonej, gdy się dowie że trzeba było aż spisków i piekielnych podstępów, aby człowiek przez nią kochany, mógł ją zdradzić. Gdy Golo się zbudził, odzyskał był zupełną przytomność i nie pamiętał ani słowa z tego, co plótł w gorączce. Jetta nie myślała mu tego przypominać, ani go więcej o nic nie spytała. Dowiedziała się już o wszystkiem.

W dni kilka później lekarz oświadczył, iż chory wyszedł z niebezpieczeństwa i wkrótce zdrowie odzyska. Teraz mogła sobie pozwolić przechadzek, aby otrząść się z trudów przebytych i siły pokrzepić.

Skoro Golo już jej starań nie potrzebywał, Jetta wróciła do pałacu, lekarz bowiem zapewnił pana Cantarel, że o zarazie nie ma i mowy obecnie. Pacjent rozłączył się z nią najobojętniej; zaledwie jej kilkoma słowy podziękował. Był wprawdzie zachwycony, iż jeszcze żyje, martwił się atoli widząc się tak potwornie ospą zeszpeconym, i mało brakowało, żeby się o to nie uczepił swojej dozorczyni Dobrze zrobiła Jetta, iż tak się pospieszyła z opuszczeniem pawilonu; tego bowiem samego dnia po południu, pan margrabia Gaston de Moisieux, krążący od dawna około pawilonu, zdecydował się nareszcie wejść do środka.

Gniazdko zastał jeszcze ciepłe, ale ptaszyna już była z niego wyleciała co go mocno zirytowało. Pocieszył się zaznajamiając bliżej z leśniczym. Od pierwszej chwili, ci dwaj „dzicy“, porozumieli się nawzajem, pokochali się i przylgnęli jeden do drugiego. Wkrótce zawiązała się między nimi przyjaźń serdeczna, co w przyszłości miało wydać bujne owoce i spłodzić nie jeden pomysł wielkiej doniosłości.

Jetta czuła sama, iż jej nerwy są podniecone, że w skutek trudów przy chorym, jest w stanie gorączkowym, że umysł jej nadto wyegzaltowany. Zanim miała w czyn wprowadzić plan dawno osnuty i obmyślany, czekała aż się zupełnie uspokoi. Odzyskawszy siły i równowagę, stoczyła raz jeszcze walną naradę z sercem i rozumem, zwierzyła się następnie ze wszystkiem ciotce z prośbą, ażeby raczyła ją niezwłocznie odwieźć do matki Amelji.

— Zrobię co zechcesz, moje drogie dziecię — odpowiedziała czule pani Cantarel — ale powtarzam ci, żeś jeszcze nadto młoda.

XXII.

Panna Maulabret próg przestąpiła i znalazła się za kratą klasztorną.

Wkrótce potem, w celi matki Amelji, na widok wchodzącej ponurej postaci w czarnym habicie, usunęła się na kolana, wzniosła ku niej wzrok błagalny i szepnęła żałośnie:

— Popatrz na mnie matko i.. przebacz.

Augustynka na nią bacznie spojrzała. Chociaż historja, którą zdawała się opowiadać ta twarz zniszczona przez nadmiar cierpienia, wcale jej nie rozczulała, uczuła się rozbrojoną. To ją tylko drażniło, że mimo zmizernienia i bladości, ta twarzyczka była nie mniej czarującą, zachowała całą czystość linji i urok nadziemski prawie. Ha! trzeba to było zostawić czasowi. Ten niszczyciel, potrafi się i z nią uporać. Matka Amelja milczała; Bóg przed nią przemówił i jej nic do powiedzenia nie zostawił. Wycisnął z tych pięknych ócz łzy wszystkie, na które je stać było i spłukał niemi truciznę, którą świat ją był napoił. Zagłębił w to serce niewierne mu żelazo rozpalone, lecząc je tym sposobem z ran przez świat zadanych; wicher jego gniewu złamał i zgniótł ten kwiat w korzeniu. Cóż zostawało dla niej? Jakież wyrzuty można czynić z pożytkiem tej, która już łzy wszystkie wypłakała? Słowa jej byłyby stracone, ona zaś tychże na wiatr rzucać nie lubiła. Usiadła, a ściskając oburącz głowę Jetty klęczącej, powiedzała jej tylko:

— Cierpiałaś zatem bardzo?

— Ach! matko, zdaje mi się istnym cudem, iż dotąd żyję!

— I przestałaś wierzyć w miłość? — dodała z gryzącą ironią

— Zaręczam żem uleczona, na zawsze uleczona.. Bóg mnie wyleczył ogniem i mieczem..

— Ten człowiek zatem?...

— Oh! przez miłosierdzie, nie mówmy o nim!

— Nienawidzisz go?...

— Po cóż go nienawidzieć moja matko?... Lepiej o nim zapomnieć

Matka Amelja zamilkła na chwilę. Mierzyła wzrokiem srogim, rozgniewanym, tę młodą grzesznicę, której głowa spoczywała dotąd na jej kolanach, a dłonie świętej służyły za poduszkę. Dziwiła się, była zgorszona i rozdrażniona tem, niby pantera, któraby zobaczyła pomiędzy swojemi pazurami gazelę szukającą tam schronienia. Słowa gorzkie, bezlitośne, wydzierały się z serca na usta, a miłosierdzie je zamykało. Musiała tłumić w sobie gniew i hamować gwałtowne oburzenie. Wreszcie przemówiła:

— Drogi pańskie są pełne tajemnic, któżby śmiał się zastanawiać nad jego rozporządzeniami. Dobrze czyni, cokolwiek czyni, a jego wybrani nie mają prawa skarżyć się na sposób, w jaki z nimi postępuje. Jedni wchodzą do jego królestwa od pierwszego rzutu, lotem ptaka. Innym zadaje ciężkie doświadczenia; każe się wlec mozolnie ku sobie, po ścieżkach kamienistych, wśród kału światowego, zanim łaska jego wyzwoli ich, uwzględniając srogie zawody, utrudzenia i nogi poranione.. Tyś tę drogę odbyła... długo ją popamiętasz. Weszłaś sama w siebie i wracasz do Boga Radabym wierzyć iż wróciłaś na zawsze.

— Oh! matko moja, przysięgam że .

— Nie kończ... lękam się tego, który krąży wiecznie niby lew rozsrożony, około pańskiej owczarni.

— Czyż nie jestem pod twojemi skrzydłami opiekuńczemi?... Ten, o którym wspominasz, tu nie wejdzie.

— Zapewne, ale najdalej za godzinę, już cię tu nie będzie.

Jetta głowę podniósłszy, wykrzyknęła radośnie i z uniesieniem:

— Matko! przybyłam. - i więcej ztąd nie odejdę!

Augustynka wytrzeszczyła na nią wzrok osłupiały, nie rozumiała, czy też nie chciała zrozumieć

— Tak dzięki Bogu, jestem tu i ztąd się już nie ruszę! — Jetta mówiła z szybkością, zdradzającą porywy młodzieńcze. Dusza jej nadto przepełniona, chciała czemprędzej wylać to co czuła. — Nie myśl matko, iż mówię po szalonemu. Długo się nad tem zastanawiałam i jestem przekonana, że tak będzie najlepiej. Nikt mnie nie zmusi zmienić to, com święcie postanowiła Moja ciotka, którą o wszystkiem uwiadomiłam, ani jednem słowem nie starała się wpłynąć na mnie. Co do pana Cantarel.. zastanów się matko, iż okoliczności zupełnie się zmieniły. Pani de Moisieux, która nim rządzi wszechwładnie, zrezygnowała co do mnie z wszelkich nadziei, nie roi o żadnych planach na przyszłość, nie ma więc powodu sprzeciwiać się memu powołaniu, zatrzymywać mnie gwałtem na świecie... Proszę mi dać prędko papier i pióro, napiszę natychmiast do opiekuna, a list mój będzie li te słowa zawierał: — „Jestem! i tu zostaję.“ — Oto wszystko.

Zdziwienie matki Amelji coraz wzrastało. Nareszcie krzyknęła:

— Czyś na dobre oszalała?.. a testament?!

— Testament?.. Oh! zostanie co do joty wypełniony — wtrąciła Jetta. - Majątek, który mnie ofiarowano, posłuży na zbudowanie domu dla chorych nieuleczalnych i cały świat będzie zadowolony. Cóż będzie zmienionego? Ubogą tu weszłam, ubogą powracam. Posag, którego nie wnoszę, zastąpię zdwojoną pracą i gorliwością. Jak ja będę pielęgnowała naszych drogich chorych!... Masz matko jaką wstrętną, ropiącą się ranę?... jaką bieliznę tak cuchnącą, że jej nie śmią tknąć i najbardziej z tem ostrzelane dziewki? Pozwól mi ją wyprać. Oczyszczę jednocześnie moje ręce, moje wspomnienia i moje serce zbłąkane

Po osłupieniu, w które była zapadła matka Amelja, nastąpił wybuch gniewu, niczem już niepohamowanego.

— Dość tego! dosyć! — gromko zawołała. — Będziesz miała wiecznie głowę przewróconą, panno Maulabret, a te mrzonki romansowe, nie pozwolą ci nigdy odzyskać krwi zimnej i rozsądnej równowagi. Ileż razy mam ci jeszcze

tłumaczyć, że ów majątek, o którym mówisz tak lekceważąco, jeżeli byłby środkiem bezbożnym i mnożącym zgorszenie w rękach niewiernych, może być dźwignią wszechpotężną w rękach sług Chrystusowych? Trzebaż ci wiecznie powtarzać, że jeżeli kościół nie żąda niczego, od tego, który nic nie ma, wymaga słusznie i sprawiedliwie, aby ten, co wiele posiadł, nie przychodził doń z próżnemi rękoma i nie bogacił szatana groszem Bogu wydartym?... Nie będę zresztą czasu traciła, na dysputowanie z tobą Wystarczy, gdy ci powiem kategorycznie — kończyła surowo, głosem podniesionym — że to czego żądasz, jest wprost niemożliwem.. czyś zrozumiała? nie-mo-żliwem!

Nawzajem panna Maulabret wlepiła w mówiącą wzrok zdziwiony i przerażony Te małe, czarne oczka, pod których kosem spojrzeniem drżała niegdyś i które w chwili obecnej płonęły ogniem ponurym jakiejś chciwości świątobliwej, zdawało się Jecie, iż teraz dopiero poznaje i przenika do głębi to, co się w nich ukrywa. Nagle zrozumiała wiele rzeczy, które dotąd wymykały się z pod jej uwagi: ta sługa boża i sługa ubogich, przedstawiła się jej w świetle właściwem. Życie pędziła na umartwianiu ciała własnego, wyrzekła się wszystkiego, bez żalu i bez litości nad samą sobą, zrezygnowała z wszelkich uciech i z wszelkich potrzeb doczesnych, umarła niejako za życia, zmartwychwstawała jednak, pełna dumy i chełpliwości, w owem stowarzyszeniu, któremu oddała się z ciałem i z duszą To ja własne, które złożyła w ofierze, było zastąpione innem, olbrzymiem, dążącem do opanowania całej kuli ziemskiej i z niego to zrobiła sobie niejako bożyszcze, a jej ubóstwo dobrowolne żądało, aby to bożyszcze było bogate, jak najbogatsze!

Matka Amelja omyliła się co do milczenia Jetty, biorąc je za dowód żalu i skruchy. Rzekła tonem mniej surowym:

— Oh! zapewne... pojmuję twoją niecierpliwość.. Trochę odwagi moje dziecię! Szesnaście miesięcy prędko przeminie.

Panna Maulabret już nie klęczała—usiadła. Po chwili szepnęła:

— Za szesnaście miesięcy matko będzie tak samo, jak jest dzisiaj. Tego majątku ani się tknę.

— Co mi pleciesz takie androny. Na dobre sfiksowałaś!... Zapominasz, iż znam ów testament, że go uważnie przewertowałam... Czy chcesz mnie oszukiwać?

— Nie, matko — łagodnie odrzuciła — tylko.. przyszedł mi pewien skrupuł co do tego.

— Skrupuł! — matka Amelja, uśmiechnęła się drwiąco i zjadliwie. — Patrzcież ma skrupuły!

— Wszak mi zawsze powtarzałaś, iż mam ich za mało.

— Są skrupuły i skrupuły, moja panno! Życzę ci nauczyć się rozpoznawać, które z nich kościół pochwala, które zaś szatan pychy podszeptuje... Czyś o nich wspominała twojemu spowiednikowi?

— Nie, matko.

— I w tak ważnych sprawach radzisz się własnego, słabego rozumu?... Ty, któraś w sercu zaprzysięgła ubóstwo, czyż nie wiesz, że masz wszystko złożyć w ofierze, swoje puste myśli, twoje niepotrzebne wątpliwości, twoją własną wolę?...

— I nawet moje sumienie?

— Naturalnie! Do kościoła należy regulowanie tego zegara.

— Sądziłam zawsze, moja matko, że sumienie to dar od Boga i radabym oddać takowe Bogu samemu, takiem jakiem je stworzył.

— Panna zatem przestałaś być katoliczką?! Wdajesz się w jakieś szykany, rozumowania! Ale przestańmy o tem mówić.. Chciej z łaski swojej objaśnić mnie, jaki to ci przyszedł skrupuł taki straszny?

Jetta zamilkła na chwilę. Zaczęła wreszcie mówić z oczami spuszczonemi:

— Dowiedziałam się od pana Vaugenis, iż życzeniem namiętnem dziadka Antoniego, było moje małżeństwo z panem Valport. Ten majątek miał mi służyć za posag Stało się inaczej, za co Bogu dziękuję gorąco Któż wie jednak czy dziadek, gdyby to mógł był przed śmiercią przewidzieć, że małżeństwo moje rozejdzie się niemal od stopni ołtarza, byłby mi zostawił ów majątek? Chciał mnie widzieć szczęśliwą. Pomylił się, nie mniej jednak powinnam jego wolę uszanować. Chorzy, pielęgnowani w domu noszącym jego nazwisko, będą mi wdzięczni za zrzeczenie się dobrowolne. Gdybym inaczej postąpiła, choćbym zaraz jutro oblekła tę suknię świętą, którą nosisz matko, nie zasłoniła by mnie przed niepokojem i srogiemi wyrzutami własnego sumienia.

— Oh! tego zatem rodzaju jest ten sławny skrupuł! — wykrzyknęła matka Amelja, puszczając wodze burzy, która w jej łonie kipiała.—Na jakiej żeś to nędzy utknęła! jakież bezsensne twoje tłumaczenie! No! tak, dzięki Bogu! omylił się ten ateusz. Niegodziwiec rozpoczyna zawsze dzieło, którego nie może dokończyć... Oh! jego zatem ostatnia wola, jego intencje nieczyste i podejrzane, są dla ciebie świętością? Nadto uszanowania, pozwól sobie powiedzieć, moja panno; posunęłaś się niemal do bałwochwalstwa w uczuciu, którem cię natchnął człowiek, obrażający Boga przez życie całe, tak słowami, jak i w myśli, i który dziś niezawodnie pokutuje za swoje niegodziwości i miotane obelgi, zanurzony w morzu smoły gorącej, w czeluściach piekielnych.

Panna Maulabret już nie siedziała, stała dumnie wyprostowana. Urok znikł. Ta rozmowa długa i drażliwa, dotknęła z kolei najboleśniej skrupułów jej duszy, obraziła czystość nieskazitelną jej sumienia, zacierała w niej zwolna owo poszanowanie pełne dziecinnej bojaźliwości, którą odczuwała zawsze w obec matki Amelji. Ostatnie słowa tej, zadały jej sercu cios śmiertelny. Rzuciła się jakby naprawdę zraniona! Przed kilku miesiącami broniła świętej w obec swojego opiekuna, dziś podjęła się bronić ateusza w obec tej samej świętej, tonem tak gwałtownym, że matka Amelja o mało na wznak nie upadła z przerażenia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NA ZIEMI MĘCZENNIKÓW

POWIEŚĆ

osnuta na tle stosunków irlandzkich

przez

KAROLA DESLYS'A.

(Dokończenie.)

XLVI.

Bog i zamek

Noc ciemna, ponura, zawisła nad szeroką bagnistą płaszczyzną nazywaną przez krajowców: *bog w Granagh.*

Aby zrozumieć czem jest taki bog w Irlandji, a tem samem i ten w Granagh, wyobraźmy sobie płaszczyznę

trzykroć sto tysięcy morgów ziemi obejmującą pełną trzęsawisk czarnych i przepaścistych, poprzerzynanych w różnych kierunkach twardszemi ścieżkami, po których przejść można od biedy, wąskiemi częstokroć ledwie na jedną stopę.

Po obu stronach tych przejść niebezpiecznych, w około miejsc zamieszkałych, które wyglądają jak wysepki do których dążą owe drożyny, szlam grząski a niezgłębiony Nic tam nigdy na wierzch nie wypłynie. Dostać się w taką czarną otchań błotnistą, której powierzchni wiecznie gładkiej i lśniącej, żadna burza nie zmarszczy, nie poruszy. to z pewnością jedna z najstraszliwszych męczarni, jaką piekło chyba mogło wymyśleć. Gdzie niegdzie zieloność zdradliwa, wyrasta na błocie torfiastem Rozmaite zioła tu bujają, wyglądając z daleka niby łąka kwieciem umajona; a to tymczasem całun nad otchłanią bezdenną zawieszony!

I tu jednak żyją i snują się ludzkie istoty. istny ród poczwarek. Są to tak nazwani torfiarze, *curf-tutters*. Z czegoż się utrzymują? Oto po miastach i miasteczkach, spotyka się często w Irlandji sprzedających w formie cegieł, kawałki torfu wysuszonego, którego ludność najbiedniejsza używa na opał. Są to starcy nędzni zgarbieni, trzęsący się od febry, która ich nigdy nie opuszcza. Ci starcy to *turf-cutters*! liczący najwyżej lat dwadzieścia.

Żyją w budach, któremi bobry z pewnością by pogardziły. Cztery ściany błotem oblepione, dach szpiczasty w środku otwór mający, którym dym wychodzi. W koło nich otchłań bezdenna. Wieczorem, skoro w jakiej budzie braknie jedno z dzieci do nędznego posiłku, nikt już ani pyta, ani go szuka Kał zdradliwszy od Acheronu, nie oddaje nigdy ofiary pochłoniętej.

Złowrogie to miejsca! Nie ma słów aby opisać, jaki smutek wieje z tej pustyni, jaka tu cisza grobowa panuje. Czasem tylko wiatr w łozach zaszeleści lub odezwie się krzyk orła o żółtych szponach, który siedzi zadumany na kłodzie drzewa zmorszałego, podobny do egipskich ibisów na piramidach w Memphis.

Na wieczór mgła wieczna!

Tej nocy jednak po bitwie przegranej, dziwny tu szmer słychać było, dziwne głosy razem zmięszane, w mgle zaś gęstej snuły się niby ludzkie postacie. Wszystko co zostało z rozbitków irlandzkich, co pod Ballynamuck ocalało, tu się schroniło przed nieprzyjacielem.

Z nimi szły dzieci, szły kobiety.

Prowadzeni przez *turf-cutters'ów* znaleźli chwilowy przytułek w ich budach, na miejscach twardszych wśród trzęsawisk Ale tylko na kilka godzin.

Armja nieprzyjacielska opasywała płaszczyznę w około lecz noc pogoń wstrzymała. Gdzieś okiem rzucił, ogniska porozkładane świadczyły, iż wszędzie żołnierze biwakują. Dodnia rozpocznie się kanonada i mordowanie bezbronnych! Okropność! okropności!

Wiedzieli o tem ci nieszczęśliwi, na których robiono obławę jak na dzikie zwierzęta. Słychać też było kiedy niekiedy bądź jęk głośniejszy, bądź modlitwę płynącą ku niebiosom, bądź łkanie głuche i stłumione, bądź okrzyk trwogi śmiertelnej. Może otchłań nową ofiarę pochłonęła; boć i tu na każdym kroku śmierć straszliwa czychała.

Na punkcie głównym, najwyższym, najednej z twardych wysepek, wśród morza błotnistego, siedział mężczyzna mgłą przysłonięty i głęboko zadumany. Na głowie miał białą opaskę, pod którą, mimo ciemności, przeczuwało się krew skrzepłą; tak samo było przewiązane jedno ramię i jedna noga. Oczy pałały mu żarem gorączkowym. Był to sam wódz najniezawodniej.

Nieopodal. pod kożuchem baranim, ktoś leżał uspiony.

Dwóch księży przeszło Rozdawali oni chleb zgłodniałym i nieśli również pokarm duchowny, słowo pociechy i współczucia.

— Niestety! — jeden z nich przemówił — noc umyka..

— I żadnej dotąd wiadomości? — spytał drugi.

— Żadnej! — rzekł głucho *Wild Irish*, bo on to sie dział i czuwał samotny.

Wszyscy trzej spojrzeli na zamek w Granagh, odświętnie iluminowany. Tam widocznie odbywała się uczta wesoła

— Obiecałem czekać na niego przez trzy godziny — Jakób przemówił. — Upłynęły... na mnie zatem kolej działać!

Wódz powstał, dumnie się prostując.

— Czegoż można się już spodziewać — wtrącił jeden z księży, tonem najwyższego zwątpienia — jeżeli się nawet Ojcu Janowi nie powiodło nic uzyskać?!

Wnioskując z rzęsistego oświetlenia które biło ze wszystkich okien zamku, iż musi tam przebywać jakaś osobistość wysoko położona, prawdopodobnie nawet sam wice-król, święty starzec poszedł błagać go, o zmiłowanie nad nieszczęśliwymi! Usłyszano kroki szybkie po elastycznej torfiastej powierzchni.

Jeżeli to nie był sam ojciec Jan, przybywał prawdopodobnie któryś z wysłanych do zamku na zwiady W świetle latarki, którą niósł jeden z księży, zobaczyli w rzeczy samej młodego *turf-cutter'sa*, od godziny przeszło wysłanego. Był bez tchu, nie ze znużenia, ale z trwogi śmiertelnej, wzruszenia i oburzenia.

— Zamordowali go! Zamordowali! powtarzał jedynie.

Co do dalszych szczegółów, nic z chłopca nie mogli wydobyć. Jakiś widok straszliwy pomięszał mu zmysły i o tyle odebrał przytomność, iż oprócz tych słów, innych już nie pamiętał. W każdym razie nagła śmierć Ojca Jana, zdawała się nie ulegać żadnej wątpliwości.

— Chcę dowiedzieć się o wszystkiem!—zawołał *Wild-Irish* — i skoro się o prawdzie przekonam, skończę zemstą, która i tym ludziom przyniesie zbawienie.

Niedopuszczając do słowa, tych, którzy chcieli go obrzucić pytaniami:

— Zgromadzić wszystkich — rzekł zagadkowo — i puścić się na znak dany z zamku Granagh.

— Jakiż to będzie znak? i przez kogo?

Nie czekał końca i tego ostatniego pytania.

— Zrozumiecie sami! — rzekł wymijająco — Bywajcie zdrowi!... Więcej powiedzieć nie mogę sługom tego Boga, który nie każe mścić się nad nieprzyjaciołmi..

Karabin przerzucił przez plecy i gotował się do drogi. Nagle Unkas wysunął się z pod kożucha, gdzie śpiącego udawał i stanął przed nim w postawie błagalnej.

— Nie! nie! — pan skinął ręką rozkazująco. — Mówiłem ci żeś mi już niepotrzebny i jeszcze ci to raz powtarzam. Masz tyle głów angielskich skalpowanych, z iloma przysiągłeś wrócić do kraju twojego; nie brak ci i złota.

do podróży. Wracaj więc, tylko wprzód oddaj list tej, którą łatwo ci przyjdzie w Kildar odszukać. Ona ci powrót ułatwi. A teraz uściskajmy się po raz ostatni jak bracia, jak przyjaciele, którzy mają się dopiero tam zobaczyć, w krainie błogosławionych!

Wild-Irish wskazał mu niebo.

W drżącym głosie czuło się rozrzewnienie i czułe przywiązanie do tego wiernego towarzysza, tylu wypraw niebezpiecznych. Unkas stoiczny jak prawdziwy Indjanin, starał się tłumić w sobie objawy rozpaczy, która mu serce rozpierało. Pantominą wyrazistą, jękiem i okrzykami, chciał jeszcze błagać. Łagodnie, ale tonem stanowczym, na który nie było odpowiedzi, Jakób tak zakończył:

— Wiem przyjacielu, żeś mi wszędzie i zawsze towarzyszył, z tej jednak wyprawy wrócić nie chcę i sam jeden biorę za czyn mój odpowiedzialność w obec Boga!... Zostań więc, tak ci rozkazuję!... Przysiągłeś mi bezwarunkowe posłuszeństwo, usłuchaj zatem mojej woli ostatniej!

Niemy zrobił giest zupełnego poddania. Długo cisnął do ust dłoń pana, wreszcie upadł na ziemię i głowę przykrył kożuchem.

Wild-Irish wybrał sobie przewodnika pomiędzy *turf-cuttersami* i zaopatrzony w głuchą latarenkę, którą z przodu do pasa przymocował, puścił się w drogę.

Ścieżka była wązka, cisza głęboka. Raz szczególny usłyszał Jakób niby lekki szelest za sobą. Wstecz się zwrócił, wzrok i słuch wytężając.

Nic! nic w około!

Źle jednak badał i słuchał. Unkas był tuż za nim, pełznąc jak wąż po ziemi, na sposób indyjski.

Zamek w Granagh bił w oczy z daleka, płonąc w blasku niezwykłym, z jego zaś wnętrza słychać było piosnki pijackie, głośne wiwaty i wybuchy śmiechu wyuzdanego. Cały jeden oddział armji mieścił się w zamku, oddany hulance i pijatyce, po zwycięztwie odniesionem. Na pierwszem piętrze sztab główny. Na drugim, oficerowie niższych stopni. W dziedzińcach po drugiej stronie zamku, nad olbrzymiemi lochami, roztarasowali się żołnierze. Pod samym balkonem głównej sali, był widok pyszny na staw. Od płaszczyzny torfiastej, ciągnął się on pod same zamczysko, które zdawało się wychodzić z fal jeziora. Była to niezgrabna i ciężka masa kamieni, po części rozwalona, z oknami gotyckiemi, z ogromną wieżą centralną, która niegdyś musiała służyć za rodzaj belwederu obserwacyjnego.

U samego szczytu wieży, z balustrady żelaznej, otaczającej platformę, zwieszało się coś długiego, czarnego, czem wiatr w tę i w ową stronę poruszał, niby skręconą żałobną chorągwią. Cóż to było, co taki cień rzucało na mury, oblane ognisk płomieniem pupurowym?

Przewodnik oświadczył, że tutaj kończy się płaszczyzna torfiasta.

— Dziękuję! — rzekł *Wild-Irish* — odejdź, teraz sam trafię do celu.

Od zamku ku stawowi, schodziło się po znacznej pochyłości, obrosłej gęstą murawą. Staw szeroki najmniej na sześćset metrów, był otoczony podwójnym szpalerem wiązów stuletnich. Pod ich konarami rozłożystemi poustawiano stoły, przy których raczyło się żołdactwo, mając przed sobą całe beczki *whisky* i innych trunków rozpalających. Na froncie zamku, wprost trawnika po którym wspinał się teraz *Wild-Irish* żadne drzewo widoku nie zakrywało i żadnej duszy nie było widać! Przejście było zatem zupełnie wolne; w dodatku z bagnisk niedalekich jak i ze stawu, podnosiła się mgła biaława, okiem prawie nieprzebita.

— Dotąd wszystko w porządku! — mruknął Jakób.

Broń opatrzywszy, pełznął dalej cichuteńko ku zamkowi Nagle coś mu błysnęło przed oczami. Był to koniec bagnetu, żołnierza stojącego na warcie, po drugiej stronie pochyłości. *Wild Irish* przyczaił się i nieznacznie wysunął z pochwy nóż ostry, obosieczny. Szyldwach szedł właśnie ku niemu, nucąc głosem młodym i świeżym, jakąś odwieczną piosnkę miłośną.

— Szkoda go! — Jakób pomyślał.

W tej chwili na płaskim dachu wieży, dzikie wrzaski się odezwały, i potrzęsiono smolnemi kagańcami, które blaskiem krwawym w koło widnokrąg oświeciły.

Wild-Irish mógł teraz rozróżnić przedmiot wiszący i wiatrem kołysany. Były to zwłoki Ojca Jana!

Nie wahał się dłużej.

Chcąc się także przypatrzeć, co się na wieży działo, szyldwach stanął tuż blisko. Padł w samo serce nożem ugodzony, nie mając czasu jęknąć. Mogli jednak żołnierze pijący nieopodal zauważyć pewien ruch nad wodą. Przez zbytek ostrożności, Jakób podniósł bagnet zabitego, i czas jakiś chodził tam i nazad, wartę odbywając.

Nikt się od stołów nie ruszył Żołdactwo dochodziło już do kresu opilstwa; było zupełnie bezprzytomne. Po prawej stronie zasiedli Jamniki sir Jocelyn'a, po lewej czarni huzarzy.

— Nie mogłem lepiej wybrać! — Jakób zarychotał śmiechem iście szatańskim. — Ach! Ojcze Janie! będziesz godnie pomszczony!

XLVII
Wild-Irish w Apoteozie.

Jakób przekonany iż nie wzbudził w nikim cieniu podejrzenia, prześliznął się cichuteńko pomiędzy trzciną i łozami nadbrzeżnemi, szukając czółna, które tu zwykle rybacy zostawiali na suchem miejscu.

Znalazł je, odpiął, pchnął na staw silnem ramieniem, i zaczął płynąć, prawie bez szelestu, trzymając się brzegów ocienionych wiązami, osłonięty w dodatku mgłą coraz gęstszą. Gdy mijał balkon, na który drzwi szklanne otworzono, doleciał go wybuch śmiechu dzikiego i huk wiwatów.

Jakób spojrzał w górę z najwyższą pogardą i wzruszywszy ramionami płynął dalej w milczeniu i ciszy głębokiej. Ze stawu dostał się na kanał a raczej fosę szeroką i pełną wody, na której był niegdyś most zwodzony. Za chwilę później tą samą drogą popłynął Unkas za swoim panem! Nie mogąc inaczej, rzucił się do wody, byle Jakóba z oczów nie stracić. Czółno ugrzęzło na mieliźnie. Jakób na brzeg wyskoczył.

Olbrzymie kamienie broniły w tem miejscu do zamku przystępu. Z wysiłkiem podniósł jeden z nich, odsłaniając drzwiczki pod nim ukryte.

Pocisnął sprężynę i drzwi się otworzyły, prowadzące do ganku podziemnego. Jakób tu dopiero pod niskiem sklepieniem odsłonił swoją głuchą latarenkę. O kilkadziesiąt kroków dalej, natrafił na kwadrat wysoko obmurowany, w rodzaju otworu do studni głębokiej, zamknięty płytami kamiennemi. Jedna z tych płyt miała wkręcony gruby pierścień żelazny, przez który był łańcuch przeciągnięty. Ten łańcuch był aż do sklepienia przyczepiony, a na drugim jego końcu był ciężki drąg, również z żelaza.

Jakób pociągnął łańcuch w górę całą siłą. Płyta się podniosła. Świecąc sobie latarką, spojrzał w głąb podziemnej pieczary. Promień padł na beczułkę przez pół otworzoną. Była po same brzegi prochem napełniona

Wszędzie było ich pełno rzędami poustawianych.

— Nie dostali się tu na szczęście! — szepnął Jakób.

Mina była gotowa! Sięgnął ręką w otwór i wyciągnął pęk lontów sporządzonych z materji łatwo zapalnych, a smołą oblanych. Na każdym był numer, świadczący o jego długości: 5, 10 i tem podobnie... *Wild-Irish* wybrał jeden z nich, odrzucił wstecz płytę, i w otwór, który ona zajmywała, wpuścił lont

— Dalej do dzieła! — zawołał.

Upewniwszy się, że drugi koniec dostał się do beczki z prochem, zapalił u latarki sznur smolny i opuścił podziemie. Gdy teraz po pod balkon czółnem przejeżdżał zatrzymał się, czółno do pala przywiązał, a sam wdrapał się na groblę wysoką murawą obrosłą. Z balkonu zwieszało się mnóstwo bluszczów i innych roślin pnących. Przy ich pomocy Jakób dostał się na balkon, wspinając po murze, w wielu miejscach powyszczerbianym. W tejże chwili i głowa Unkasa pokazała się nad wodą, po za czółnem opuszczonem. Indjanin patrzał to na owo sklepienie, pod którem pan jego zniknął na krótko, to na zamek i starał się odgadnąć co by to wszystko mogło znaczyć.

W sali głównej, balkonowej, mimo zniszczenia częściowego zamczyska, wcale jeszcze pokaźnej i wspaniałej, przy rzęsistem oświetleniu, siedzało za stołem tylko czternastu najwyższych dygnitarzy, ale hałas był piekielny, jak gdyby ich było ze stu przynajmniej.

Uczta była wspaniała. Oprócz świec jarzących w świecznikach kryształowych i srebrnych kandelabrach, stali żołnierze, posągi żyjące, z pochodniami w ręku i potrząsali niemi, przy każdym głośniejszym wiwacie

Sztuki olbrzymie mięsa wołowego, zwierzyny rozmaitej, pasztety rozmiarów potwornych, wszystko mocno nadwerężone, świadczyło o żarłoczności nienasyconej biesiadników. Była to w rzeczy samej uczta godna sławnego Gargantui! Na obrusie zlanym winem świeciła porcelana kosztowna i pyszne kryształy. Stół giął się od sreber. Na pierwszem miejscu siedział *Amfitrjon* gości podejmujący, jeden z angielskich jenerałów.

Festyn rozpoczął się o godzinie oznaczonej. Moc butelek wypróżnionych świadczyła, iż trwał już długo, bardzo długo!

Po prawej stronie gospodarza siedział baron von Homspach, po lewej suchy i flegmatyczny sir Jocelyn smutny bohater rzezi wykonanej przez jego oddział na bezbronnych pod Kilder, w dolinie Curragh. Tak jak był zimny i powolny, jednakowoż gdy tego Irlandczyka renegata opanowało upojenie, dwaj godni jego towarzysze uznawali w nim mistrza, co do talentu i przemyślności w okrucieństwie. Co do reszty biesiadników, między którymi przeważał żywioł teutoński, byli w tym samym guście mniej, więcej. co trzej wyżej wymienieni dygnitarze.

Wnoszono drugie danie, gdy Ojciec Jan, błagając nadaremnie o przypuszczenie go przed oblicze jenerała angielskiego, wcisnął się teraz wraz z pachołkami do sali jadalnej i stanął w kornej postawie przed biesiadnikami.

Zrazu wszyscy umilkli na widok tego pięknego starca, z twarzą jasną, z włosem jak mleko białym. Kapłan skorzystał z tej pauzy, aby odwołać się do ich wspaniałomyślności i uczuć chrześciańskich.

— Przyszedłem prosić was milordowie o spełnienie czynu, który Bóg wam z pewnością policzy i odda stokrotnie!

— Nie plótłbyś głupstw klecho! papisto! — burknął szorstko jenerał — gdy chcę słyszeć kazanie, idę do mojego zboru! Gadaj krótko a węzłowato, czego żądasz?

— Łaski! Miłosierdzia!

— Dla hultajów!... buntowników!... bandytów!...

— Nie! ale dla nieszczęśliwych, których głód doprowadził do ostateczności!

— Głód? — zastanowił się żarłok tem słowem najbardziej uderzony. Prędko jednak inaczej się namyślił: — Chciałeś zapewne powiedzieć staruchu: lenistwo i niewstrzemięźliwość.

Kapłan spojrzał na tłustą, karmazynową facjatę Anglika i na stosy butelek. Uśmiech gorzki zaigrał mu na bladych ustach, nie uniósł się jednak, tylko cicho i pokornie błagał dalej:

— Milcz klecho! i ruszaj do djabła! — krzyknął gromko jenerał. — Pieczyste nam wystygnie.—A widząc żę ksiądz stoi nieporuszony, dodał: — Czyż nie rozumiesz że nas tem znieważasz?!

— Jakaż w tem może być zniewaga — kapłan spokojnie odpowiedział — żem was milordowie, posądził o ludzkie uczucia? i do tych uczuć w imię Boga samego przemawiam!

I chociaż na nowo wszczął się hałas piekielny, ksiądz z placu nie ustępywał, tylko prosił i zaklinał, żeby ulitowali się nad bezbronnymi.

Z karmazynowej, twarz jenerała, zmieniła się w barwę sino-fioletową Gniew wściekły go opanowywał, wreszcie wybuchnął:

— Uwolnić nas od tego klechy piszczącego!—huknął — A skoro nie chce ustąpić się dobrowolnie, powiesić dziadygę!

Biesiadnicy przyklasnęli tak szlachetnemu pomysłowi, a jenerał podniecony dodał w nawiasie:

— Powiesić na wieży, wysoko! I oświetlić kagańcami! Niech wiedzą jego wspólnicy, z jakiemi honorami przyjmujemy ich parlamentarza!

Wiemy co nastąpiło...

Uczta szła swoim trybem, libacje nieustawały, a twarze biesiadników zbliżały się już barwą purpurową, do facjaty szanownego Amfitrjona.

Był wielce wspaniałomyślnym. Czego zjeść i wypić nie byli w stanie, kazał rozdawać żołnierzom, którzy wrzeszczeli na całe gardło:

— Niech żyje jenerał! Hurra! Niech żyje Wielka Brytanja!

Starożytny zegar w sali, wydzwaniał powoli godziny, aż doszedł do północy. Wszyscy byli piani, a jednak pili dalej. Teraz przyszedł *puntsch* z kolei. W wazie srebrnej sterczała olbrzymia głowa cukru i płonął rum barwą niebieskawą.

Jeden z biesiadników padł pod stół jak kłoda. Pachołki wynieśli opoja.

— Milordzie! — zwrócił się do jenerała sir Jocelyn tonem uroczystym — zostało nas tylko trzynastu, a to liczba fatalna!

— Zaprośmy kuchmistrza! — zaproponował Homspach żartobliwie.

— Lepiej jeszcze! — zawołał sam gospodarz — zapraszam wisielca! Zdjąć go z wieży i tu przyprowadzić!

Ha! ha! ha! figiel wyborny! Przecież nam potrzeba kapelana, żeby na końcu odmówił *Benedicte!*

Posypały się oklaski frenetyczne, pomięszane z wybuchami śmiechu szalonego i brzękiem tłuczonego szkła. Hulatyka dochodziła do szczytu rozpasania i nieprzytomności.

Przypomnijmy sobie, że *Wild-Irish* udając się do lochów podziemnych słyszał hałas piekielny. To była właśnie ta chwila.

Profanacja szła swoim trybem. Jakkolwiek wielkim był pospiech w spełnianiu rozkazów jenerała, minęło blizko pół godziny, zanim zdołano nowemu kaprysowi zadość uczynić.

Pułkownik czarnych huzarów przypomniał sobie tymczasem jakąś pruską piosenkę pijacką, raczej ponurą niż wesołą. Kończył właśnie strofkę ostatnią, głosem grubym, ochrypłym, niby psa wściekłego szczekanie, gdy drzwi z łoskotem na oścież otworzono.

Dwóch zbirów, wlekło ująwszy ją pod ramiona postać, która chwiała się na prawo i lewo. Były to zwłoki ojca Jana!

To coś straszliwego, wyglądało na zmorę trapiącą, na senne widziadło w paroksyzmie gorączki!

Na widok tej twarzy zczerniałej i nabrzmiałej, i tej głowy, to wstecz to naprzód opadającej, a okrytej długim siwym włosem, biesiadnicy struchleli...

Spostrzegł to wrażenie zacny Amfitrjon i parsknął śmiechem brutalnym:

— Ejże! Czyż tacy jak my zuchy, mieliby jak dzieci bać się upiora? — spytał drwiąco. — Posadzić klechę koło mnie! Zawiązać mu pod szyją serwetę i nalać *punchts'u*! Piję zdrowie naszego kapelana! Kto ze mną?

Zgaszono płomień w wazie, którego blaski niebieskawe nadawały tej całej scenie pozór jeszcze więcej fantastyczny i *puntsch* porozlewano do szklanek.

Nie wszyscy jednak toast powtórzyli

Głowa ojca Jana opadła na piersi, odbijając ponuro barwą czarno-siną od białej serwety.

— I cóż? — spytał pułkownik Homspach który jeden podzielał w zupełności okrutny żart Anglika. — Nie odpowiesz kruku czarny mnie i panu jenerałowi? Przecie piliśmy twoje zdrowie!

I resztę trunku wylał w twarz trupowi. Głos potężny, podobny do trąby Sądu ostatecznego, zagrzmiał nagle w otwartych drzwiach balkonowych

— Świętokradztwo! łotry! nikczemni zbrodniarze!

Wszyscy spojrzeli w tę stronę. Na progu stał człowiek dumnie wyprostowany, blady jak widmo, z piorunami w czarnych źrenicach. Nikt na razie nie wiedział ktoby to był i zkąd się wziął tak nagle.

— Czy tego djabła piekło nam przysyła? — zaśmiał się jeden z biesiadników.

— Niekoniecznie! — odrzucił lodowato nieznajomy — ale to rzecz niewątpliwa, że znajdziecie się tam wkrótce razem ze mną!

W koło stołu posypały się żarty, dowcipy i pytania:

— Czy to komedja, aby nas rozerwać po uczcie? Cóż to za taki trefniś krotochwilny? Czego pragnie?

— Otrzymać to — brzmiała odpowiedź — sposobem, o którym się wkrótce dowiecie, otrzymać ową łaskę odmówioną przez was temu tu męczennikowi! — nieznajomy ręką trupa wskazywał. — Panowie, chciejcie wysłuchać mnie z uwagą. Moje imię wystarczy, aby wam wytłumaczyć, że nie czas na śmiechy i żarty. Jestem *Wild-Irish*.

Dziesięć głosów naraz się odezwało:

- Chwytać! wiązać bandytę! Jego głowa warta dwadzieścia tysięcy funtów szterlingów!

Ale on skierowawszy najspokojniej ku napastnikom lufy dwóch pistoletów:

— Pierwszy, który się ruszy, trupem padnie! — zapowiedział tak stanowczo, iż nikt się naprzód nie posunął.

Po chwili dodał tonem drwiącym:

— Pogadajmy trochę. Dwadzieścia tysięcy to głupstwo w obec skarbu, który zamek kryje w swojem wnętrzu, a co ja odszukałem, wiedziony tajemnym instynktem i wam panowie przeznaczam! Czterdzieści przeszło beczułek.

— Złota? — podchwycił chciwy pułkownik, z okiem roziskrzonem — Ach! ach! Tam do djabła panowie! Warto by się jednak nad tą propozycją zastanowić. Jeżeli w taki sposób chce wykupić swoich towarzyszy, żądam stanowczo, żeby go wysłuchać!

Jakób atoli dalej się drwiąco uśmiechał:

— Dziękuję! — skinął głową. — Wiedziałem, że kto jak kto, a pan baron z pewnością udzieli mi łaskawie posłuchania! Wszak złoto twoim bożyszczem! Za złoto porzuciłeś kraj własny, i przyszedłeś tutaj kraść, podpalać, łupić i mordować lud nasz bezbronny i nieszczęśliwy! Cóżbyś powiedział podły jurgieltniku, gdyby naraz wystąpił mściciel i ukarał cię należycie, za cały szereg zbrodni popełnionych?

Baron zmięszany i zawstydzony, mruczał gniewnie jak niedźwiedź ruszony z legowiska

Teraz krzyknął z kolei Irlandczyk, sir Jocelyn:

— Ależ ten łotr drwi sobie z nas w najlepsze! Ejże! moje Jamniki! rozstrzelać tego zuchwalca!

Jakób pozwolił mu dokończyć, ale uśmiech szyderski z ust mu nie schodził.

— Zapominasz, że żołnierze twoi pijani! — odezwał się zwolna — upojeni krwią i winem, jak na płaszczyźnie Curragh! Ah! oprawco kraju własnego, zdrajco nikczemny! renegacie! nie lękasz że się, iż cię kiedyś spyta Mściciel Najwyższy: „Kainie! Kainie! coś zrobił z braćmi twoimi?!“

Nic gwałtowniejszego nad wybuch gniewu u flegmatyka. Sir Jocelyn porwał nóż ze stołu, w braku innej broni pod ręką i chciał się rzucić na mówiącego:

— Nakazałem, żeby się nikt nie śmiał ruszyć! — *Wild-Irish* rzekł lodowało, mierząc z pistoletu.

Renegat padł trupem, ugodzony kulą w samo czoło. Nikt się już nie śmiał, nawet sam żartobliwy gospodarz, który teraz siedział między dwoma trupami.

Wytrzeszczał swoje oczka świdrowate, osłupiały, oszołomiony, sino-karmazynowy więcej niż kiedykolwiek, przez pół wytrzeźwiony, ale wściekły i wielce zaniepokojony, że mu natręt niegodziwy przerwał tak nie w porę mozolne trawienie.

Wild-Irish mówił dalej wspaniały w swoim dumnym i pogardliwym spokoju, tragiczny w świętem oburzeniu:

— Na was dwóch kolej milordzie! — zwrócił się z mową do jenerała. — Oh! to odwieczny, dwóch ras śmiertelny pojedynek! walka do tchu ostatniego!... Ty przedstawiasz Anglję chciwą krwawych podbojów! ja Irlandję przez was uciemiężoną!.. Trwa to już przez ośm wieków! Lat ośmset niszczenia, łupiestwa i czynów tak haniebnych, tak okrutnych o jakich nie czyta się w żadnej historji! Ojczyzna moja była niegdyś szczęśliwą i bogatą. Po całej Europie rozsyłała świętych swoich i bohaterów! Ale przyszliście wy, zaborcy bez sumienia, tysiąc na stu, dziesięciu przeciw jednemu! Zgnietliście nas, okuli, skrępowali, dla siebie zabierając co najlepszy kęs ziemi! co najjaśniejsze słońca

pronienie! Starcom wydzieraliście siedziby praojców! dzieciom miejsce gdzie stała ich kolebka, wszystkim cześć, godność narodową i skarb najdroższy wolność! Zatruliście podłem służalstwem powietrze, którem oddychamy! Chcieliście się targnąć na nasze świątynie! na Boga naszego! Poskarżył się kto, starał się zrzucić jarzmo z karku, mordowaliście bez miłosierdzia, wymyślając katusze coraz potworniejsze! Zabór to, mający na celu zagładę. Czyście się kiedy ulitowali naszej nędzy za Fudors'ów, Stuartów, Cromwella?! Niegdyś? wczoraj? dziś?... Nigdy! przenigdy! A jabym miał was oszczędzać?!... Ha! ha! ha!... Otóż tych czterdzieści baryłek są napełnione nie złotem panie baronie!... ale prochem... Tak, prochem! i od pół godziny tleje sznur smolny, przezemnie zapalony... za chwilę zamek w powietrze wyleci!

W trwodze śmiertelnej, biesiadnicy pozrywali się chcąc uciekać, jak gdyby zobaczyli na murze owo złowrogie *Mene*, *Thekel*, *Phares*, głoskami ognistemi wypisane.

— Za późno! — krzyknął Jakób na zegar wskazując. — Zanim wybije godzinę, z zamku Granagh, jak z krateru wulkanu, ogień wszystko i wszystkich pochłonie, stosy gruzów i zgliszczy zostawiając. Zaledwie mamy chwilę przelotną, aby uderzyć się w piersi i błagać Przedwiecznego o grzechów odpuszczenie!

Homspach zawołał, chwytając się promyka ułudnej nadziei:

— Kłamie! Chce nas tylko przestraszyć! Czyż byłby tutaj, gdyby to prawdą być miało?!

— Jeżeli zostaję — *Wild-Irish* dumnie się wyprostował — to dla tego, że chcę wasz los podzielić. Człowiek jak ja, skazuje na śmierć trzy tysiące bliźnich swoich tylko pod tym jednym warunkiem, że stanie razem z nimi u stóp tronu Władzcy i Sędziego Najwyższego, wołając: „Osądź nas Panie wedle czynów naszych, a Twojej sprawiedliwości!"

Zegar zaczął bić.

— Módlmy się i żałujmy za nasze przewinienia! — *Wild-Irish* padł na kolana.—Nadchodzi sądu godzina!

Naraz Unkas pojawił się na balkonie, porwał w pół pana swojego i rzucił się z nim w stawu głębiny.

Czas był najwyższy! Zahuczało w powietrzu... potem trzask, łomot, jakby tysiące dział wypaliło... i zamek runął w gruzy...

Jakób słusznie zapowiedział. Był to w rzeczy samej wybuch wulkaniczny, pochłaniający bezbożnych uczty uczestników.

Zaledwie kilku żołnierzy zdołało się uratować, na pół oszalałych z trwogi.

Nikt tego dnia nie śmiał przystąpić do krateru, który jeszcze ciągle, wyrzucał z łona race ogniste, prócz zbiegów nieszczęśliwych, na przestrzeni torfiastej rozsypanych.

Ci zrozumieli znak dany, i jak niegdyś Izraelici przez Morze Czerwone, przeszli przez Morze z płomieni.

Zakończenie.

Z przyszłą wiosną, na statku nazywającym się *Hoche*, Tankred przybył do Dublina. Udał się natychmiast do pałacu Leinster, który był szczelnie zamknięty. Księżna matka umarła przed trzema miesiącami. Kornelja i Łucja wyjechały na stały pobyt do Kildar. Gaillefontaine zamówił konie, które miały się stawić nazajutrz do dnia. Chcąc zasięgnąć wiadomości, udał się wieczorem do *Litterary Club*.

Lord Cornwallis słowa dotrzymał. Amnestja prawie ogólna, rządy łaskawsze i łagodniejsze, kazały się spodziewać dni jaśniejszych i lepszej doli dla biednej Irlandji.

O'Connell nie rozpaczał o przyszłości. Przypatrzywszy się z bliska okropnościom wojny domowej, wierzył więcej niż kiedykolwiek w reformy zdobyte na drodze pokojowej. Powtarzał hrabiemu swoje zdanie ulubione:

— Nigdy prawo i sprawiedliwość, nie zwyciężą przez przemoc brutalną. Rządy tyrańskie mogą utrwalić się za pomocą pożóg i krwi rozlewu, nigdy sprawa wolności!

Uczył się, pracował i przygotowywał do tej walki, prawdziwie głośnej i chwalebnej, która w lat dwadzieścia później w nim znalazła najgodniejszego szermierza..

Humbert i jego żołnierze zostali do Anglji odwiezieni, pokój jednak, który mocarstwa między sobą zawarły, pozwolił im wkrótce oglądać kraj własny i służyć dalej Francji.

Lekarz Slovius Jumble, wydał w Amsterdamie dzieło swoje, owoc pracy czterdziestoletniej.

Gdy Tankred stanął przed bramą zamku w Kildar dwoje dziatek Edwarda, bawiło się na dziedzińcu, na miękkiej murawie.

-- Ojciec czeka na nich z utęsknieniem — przemówił do Pameli, która pierwsza wybiegła na jego powitanie.

Nadeszła i Łucja, zwolna i dziwnie wahająca.

Blada i wiotka, wyglądała prześlicznie w sukniach kirowych. Spojrzeli sobie w oczy, nie śmiejąc z razu przemówić jedno do drugiego.

Kornelja była również w grubej żałobie.

— Nie masz więc pani żadnych wiadomości o Jakóbie? — spytał Tankred.

— Jakób zginął w zamku Granagh! — Kornelja płaczem wybuchnęła.

Rzecz dziwna! Tankred jak zwykle współczujący, uśmiechał się dalej.

— Jeszcze jedna z owych legend bajecznych któremi Irlandja jest przepełnioną! — odezwał się wreszcie. — Prawda była w liście do pani pisanym, który musiał zapewne zaginąć. Szczęśliwy jestem, iż mogę ją obwieścić. Przyjm tak mężnie radość, jak zniosłaś i nie ugięłaś się pod ciosem bolesnym. Unkas pana swojego wyratował i teraz z nami złączyli się w Ameryce.

Tu wszystko opowiedziawszy szczegółowo, na dowód wręczył jej od Jakóba gałązkę paproci amerykańskiej.

Gdy Kornelja cokolwiek się uspokoiła i łzy otarła, które tym razem radość bez miary wycisnęła, Łucja, patrząc żałośnie na tyloletnią wierną towarzyszkę, szepnęła:

— Jakto?... więc i ty mnie opuścisz?

W jej pięknych oczach łzą przyćmionych, czytało się te słowa:

— Zostanę zatem samą, samiuteńką!

Hrabia chciał przemówić, ale na razie tchu mu zabrakło. Wydobył list z zanadrza, a podając go dziewicy-wdowie, rzekł nieśmiało głosem drżącym:

— Czytaj miss, co pisze Edward, twój brat!...

Od pierwszych słów rumieniec szkarłatny oblał twarz i szyję Łucji. Następnie pobladła jak chusta, wreszcie oczy podnosząc, ośmieliła się spojrzeć na Tankreda. Drżący

z obawy, nie tracąc jednak błogiej nadziei, wyciągał do niej miłośnie ramiona.

— Kto inny ci za mnie sir odpowie — szepnęła. — Chodźmy!

Skręciła na drogę wiodącą do grobów, gdzie Edward przebudził się po śnie letargicznym. Nowy pyszny pomnik wznosił się w podziemiu sklepionem. Na czarnej tablicy marmurowej świecił napis głoskami złotemi:

„Pamięci Reginalda“.

— Przeczytaj sir nawzajem—rzekła młoda wdowa — tę ostatnią wolę jego, którą nie spodziewając się widzieć ze mną i pożegnać ustnie, wręczył był dla mnie lordowi Roden.

Tankred przebiegł szybko wzrokiem ten ustęp:

„Zauważyłem, iż hrabia Gaillefontaine, choć nigdy o tem nie wspomniał i nie dał nawet poznać po sobie, w poczuciu rycerskiej delikatności, jest do ciebie Łucjo szczerze przywiązany. Jest jednym z tych, (a było ich nie wielu w mojem krótkiem życiu), którzy potrafili wzbudzić we mnie szczerą sympatję i wysoki szacunek. Myślę iż godnym jest twojej wzajemności i że byłabyś z nim szczęśliwą. Zostań więc jego żoną Łucjo; ja sam cię o to proszę; umarli biorą rozbrat ze wszystkiem co ziemskie, a więc i z zadrością“.

Teraz podała dłoń hrabiemu z całem zaufaniem.

— Nieprawdaż Tankredzie — rzekła cichutko, gdy on ją tulił do piersi namiętnie — że Reginald sam nas łączy i z góry nam błogosławi?

Po upływie niespełna dwóch tygodni, wszyscy mieszkańcy zamku Kildar wsiadali na statek amerykański, *Hoche'm* nazwany.

Trzy młode kobiety Tankreda otaczały: Pamela, Kornelja i hrabina Łucja Gaillefontaine. Dzieciaki śmiały się i skakały, uszczęśliwione, że jadą do tatusia.

Ma się rozumieć, iż wierny murzyn i wielu innych sług poczciwych, towarzyszyło paniom w podróży

Niedaleko od tej grupy siedmioro malców jednakowo w nowe suknie postrojonych, cisnęło się do kolan, czepiało sukni dziewczynki smukłej i wcale przystojnej brunetki, o wiele za młodej, aby mogła być ich matką.

Tą dzieweczką hożą i milutką była Peggy, Pata narzeczona.

Pod dużą chustką, przyciskała do łona i kryła starannie, jakby skarb drogocenny, skrzyneczkę prostą drewnianą w kwiaty jaskrawe pomalowaną, z wiekiem dziurkowatem, aby mogło tamtędy wchodzić powietrze.

— Cóż tam wieziesz dziecię tak kosztownego? – spytał Tankred zaciekawiony.

— *Arrah*! — dziewczątko smętnie się uśmiechnęło. — To ziemia moja rodzinna i kilka gałązek schamrock'u z pól Irlandji!

Można znaleźć gdzieś w Ameryce, dolinę żyzną i doskonale uprawioną, w której odszukalibyśmy i dziś jeszcze potomków w prostej linji, osobistości najgłówniejszych wchodzących w zakres tej powieści.

Ich rodziny zamieszkują dwie wielkie osady, jak miasteczka zabudowane, tuż z sobą graniczące.

Te osady nazywają się, jedna *Kildar*, druga zaś *Gaillefontaine*.

K O N I E C.

Zadanie konikowe.

(ułożył Boruta z pod Balej-góry.)

o	r	l	a	t	y	t	e	n
y	c	i	p	a	ł	y	m	u
z	ś	a	i	ń	j	k	a	o
ń	w	a	z	o	c	g	j	o
o	e	o	c	k	o	i	k	d
y	c	i	d	k	z	ś	r	a
n	d	m	d	i	n	a	p	o
s	m	ł	i	o	u	z	o	c
o	t	ł	o	m	k	ń	l	o

Łamigłówka

an — oba — ulu — de — ług — o — ol — ka — asa

Przez przybranie na początku i końcu każdego wyrazu po jednej literze urobić wyrazy, których początkowe litery utworzyć mają tytuł znakomitego poematu, a końcowe z dołu do góry czytane, nazwisko autora.

Łamigłówka

(ułożył p. Z. Kusztelan.)

ka — a — alt — zo — drze — ma — co — wa — mem — i — on — ment — mühl — er — roc — cy — ry — styp — djak — wo — ce — le — i — on — non — gna — i — li — ce — me — rus — ci — ta — ka — furt — ro.

1) rzeka poboczna Dunaju, 2) szukaj go w lesie, 3) filozof grecki, 4) miasto w Afryce, 5) bożek egipski, 6) Imię męzkie, 7) Zaprawa mularska, 8) rodzaj jaszczurki, 9) wyspa, 10) miasto w prow saskiej, 11) wódz rzymski, 12) starożytna nazwa miasta, 13) mowca rzyms-i, 14) 12 konstellacji.

Początkowe litery czytane z góry na dół, dadzą imię i nazwisko poety polskiego, końcowe zaś z dołu do góry nazwis-o stolicy.

Akrostychon

bezbożnik — ubrany — skąpy — potulny — głodny — smutek — towarzyski — rozumny — forte — wolny — spokój.

Zamiast powyższych wyrazów podstawić inne o wręcz przeciwnem znaczeniu w takim porządku, aby początkowe głoski utworzyły imię i nazwisko znakomitego poety polskiego.

☞ Jako premjum za rozwiązanie, przeznaczamy **powieść W. Przyborowskiego „Marznące fale“.**

Rozwiązanie zadania piramidalnego.

K
r u n **o**
a n t o **ś**
s i e r p **e**
z a l e s k **i**
e m a n u e l **u**
w i l l i a m **s**
s e d e c y j a s **z**
k r a s n o j a r s **k**
i w a n - j e z i o r **o**

Rozwiązanie łamigłówki.

Estkowski — **Dywdyk** — **Malaga** — **Unici** — **Niżniów** — **Duro** — **W**ilkoł**ak** — **A**ld**ona** — **Sewer** — **Irkuck** — **Lewici** — **Eak** — **W**ertumnu**s**.

Edmund Wasilewski — Krakowiaki.

Rozwiązanie zadania piramidalnego i łamigłówki nadesłała p. Emilia Niemczewska z Kozaczówki, łamigłówki p. Stanisław Faliszewski z Zaleszczyk.

Nagrodę otrzymała p. **Emilia Niemczewska.**

Z drukarni nar. W. Manieckiego. Wydawca: Józef Rogosz Zarządzca drukarni i odpowiedzialny redaktor: Walenty Hodak.